

Wkroczenie Armii Czerwonej do Buska we wrześniu 1939 roku

Przygnębiony wieściami o klęsce Polaków i zbliżeniu się Niemców do Buska, włóczyłem się, jak obłąkany, po ulicach miasta, obserwując resztki i wycofujących się żołnierzy polskich. Naszą ulicą (mieszkałem przy Wołoskiej 97) w tym czasie przyjeżdżała jakaś kompania, czy batalion ułanów. Na pięknych koniach jechały "malowane dzieci". Spostrzegali nasze zatroskane twarze i rysujące się na nich pytania, czy to już naprawdę koniec i co się stanie z Polakami, z Polską ... ?

Mój sąsiad, Franciszek Pituła, przystąpił do jednego z jadących na pięknym kasztanie i przedstawiając się, że jest bratem ułana, który też był na wojnie, zapytał, czy aby nie jest zorientowany o położeniu i miejscu pobytu pułku jego brata, wymieniając oczywiście nazwę tego pułku. Zapytany odpowiedział, że nie wie dokładnie, ale sądzi, że ten pułk znajduje się gdzieś w okolicach Lwowa. Okurzone twarze ułanów i ich sprzętu wskazywały, że musieli przebyć długą drogę, może już wiedząc, że zdecydowanie prowadzi ona do klęski, bowiem już wielu było wiadome, że Rosjanie uderzyli na Polskę z drugiej (wschodniej) strony i że w zaciskających się kleszczach niemiecko - rosyjskich wszelka obrona pozostaje bezsensowną. Pomruki dział były już dobrze słyszalne. Wydawało się że front jest gdzieś zaraz za Pobużanami. Rzeczywiście tam był, chociaż trochę dalej bo pod Tadaniami.

W obrębie wioski Tadanie bronili się dzielnie Polacy. Zginęło tam wielu Niemców. Kto wie, czy gdyby nie już teraz historyczny rosyjski "nóż w plecy", Niemcom udałoby się tak szybko w tych rejonach osiągnąć zwycięstwo, pomimo, że miejscowy ruski nacjonalizm też podnosił głowę i coraz jawniej demonstrował swoją przychylność wobec Niemców i wrogość do Polaków. Coraz częściej miały miejsca przypadki rozbijania polskich żołnierzy przez cywilnych Rusinów. Pamiętam, jak opowiadano, jak jakiś Rusin z Lanerówki (niedalekiej wioski), kiedy kopał ziemniaki, ledwie wlokącego się ze zmęczenia i w dodatku rannego, pewnie po stoczony bitwie pod Tadaniami, polskiego żołnierza, zaatakował go przy pomocy motyki, żądając karabinu. Żołnierz zebrał ostatki sił, odskoczył i zastrzelił rosyjskiego chłopca. Czy fakt ten miał na pewno miejsce - trudno potwierdzić.

Pamiętam też, jak właśnie na naszej ulicy rozniosta się pogłoska, że jakiś mężczyzna spośród uciekinierów wycofujących się na wschód, nieprzerwanie wypytywał o różne sprawy. Między innymi interesowało go to, czy nocą wycofywały się tędy wojska polskie, jakie to były formacje, gdzie mogą być ich skupiska obecnie itp. Ktoś, nie pamiętam kto, ale był to z całą pewnością Polak, zgłosił któremuś z oficerów polskich o zainteresowaniach nieznanego, wskazując równocześnie jego osobę. Nieznajomy został podejrzany o szpiegostwo, aresztowany przez żołnierzy polskich i podobno rozstrzelany, gdyż niczym nie mógł poświadczyć, że jest Polakiem i pochodzi z Polski. Czy jednak został faktycznie rozstrzelany - tego nie byłem nigdy pewny. Wiem, że przesłuchania podejrzanego o szpiegostwo odbywały się w domu mieszkańca Wołoskiej, Jarosławskiego.

W następnym dniu udałem się na Poczmajstrówkę. Taką nazwą ochrzczono okolicę, która sąsiadowała z dzielnicą Długa Strona i przylegała do traktu wiodącego w kierunku Jabłonówki (wioski). Był to ciekawy trakt. Wykonany był z samej cegły, oczywiście cegły specjalnej. W moich czasach już niektóre jego odcinki uległy zniszczeniu. Dziury łątano tłuczonym kamieniem. Pamiętam, jak przy nabrzeżach tego traktu usypane były przyzmy z kamienia tłuczonego, które tworzyły materiał do łątania występujących dziur. Pamiętam też jak grube kamienie rozbijane były takimi młotkami na długich stylach przez wyspecjalizowanych pracowników zwanych kamieniarzami. Nieraz słyszałem

słowa wielu rodziców, skierowanych do swoich dzieci, w rodzaju: "*Nie będziesz się uczyć, będziesz tłuł kamienie*". Widocznie praca ta była bardzo ciężka.

Poczmajstrówka... ! To może nawet ten odcinek Krótkiej Strony (dzielnicy Buska), który między Długą Stroną stanowił pewien niezabudowany obszar. Przypominam sobie, że rosły tam obłe lipy, a obok nich rozciągała się obszerna niwa będąca własnością hrabiego Badeniego z Buska. Tutaj obok mieścił się posterunek miejscowej policji, a po drugiej stronie mieszkała znajoma, Wanda Iwanicka. Śmialiśmy się nieraz z jej nazwiska, twierdząc, że musiała pochodzić z rodziny żydowsko - rosyjskiej, bowiem Iwan to przecież imię Rosjanina, natomiast Icek to przecież imię Żyda. Dom jej był na takim lekkim wzniesieniu z małym gankiem.

Wspomniana niwa, pole hrabiego Badeniego stanowiła w tym czasie bezkresne rzyisko. Rzyisko to zamienione zostały na lądowisko samolotów. Tutaj lądowały i startowały polskie wojskowe samoloty. Znalazłem się tam. Nieopodal stał samolot z "szachownicą", chociaż nie pamiętam czy był to dwupłatowiec, czy jednopłat. W każdym razie w pamięci zachowałem inne okoliczności i zdarzenia. Obok samolotu stali i wyżsi oficerowie. Według mojego z tego okresu rozeznania był wśród nich generał. Zostało wzniecone ogromne ognisko. Palono mapy i jakieś wojskowe dokumenty. Oznaczać to mogło tylko jedno - podjęto działanie, by ważne dokumenty nie przedostały się w ręce wroga - czerwonoarmistów. Kiedy po jakimś czasie ognisko przygasło, oficerowie uznali, że nastąpił czas, aby odlecieć. Słyszałem, jak polecono pilotowi przygotowanie maszyny do startu. Skonstatowałem więc, że nadszedł czas, abym i ja udał się do domu.

Minąłem posterunek i dom Wandy Iwanickiej i zbliżyłem się do krzyżówki. Tutaj, poczynając od mostu nad potokiem, którego nazwy nie pamiętam, początek brała ulica poprzeczna do tej zwanej Krótką Stroną, łącząc ją z rynkiem. Po bokach tej ulicy stały mizerne drewniane domki zasiedlone przez biedotę żydowską. Żydzi z tej ulicy mniej handlowali, bardziej zajmując się rzemiosłem. Rozwijało się tutaj blacharstwo, krawiectwo, a nawet kowalstwo. Przy kuźni kowala Fawła nieprzerwanie stały konie, którym przymocowywano do kopyt podkowy. Jedynym ekskluzywnym budynkiem przy tej ulicy, w tej jej części, był dosyć wzniosły dom Podanowskich. Podanowski prowadził w tym domu zakład koszyków. Myślę, że były to tak zwane kobiałki, a więc koszyki plecione z takiej specjalnej trawy, który służyły do zakupów i przenoszenia drobiazgów. Koło tego domu Podanowskich, jako uczeń, przechodziłem wraz z całą klasą na tak zwane "żydowskie pastwisko". Istotnie było to wyłączone jakby pastwisko dla wspomnianej biedoty żydowskiej, na którym pały się gęsi i kozy, rzadziej krowy. Pastwisko było rozpostarte pomiędzy rzeczką Słotwiną i wspomnianym potokiem płynącym obok domów Krótkiej Strony. Na nim odbywały się szkolne zajęcia gimnastyczne. Na nim to właśnie jako uczniowie organizowaliśmy zawody w rodzaju "dwóch ogni", "palanta", skoku w dal i wzyż, itp.

Kiedy więc znalazłem się przy tej ulicy, zauważyłem, jak przy każdym domu we wnękach drzwiowych stoją Żydzi. Wyglądało na to, że kogoś czekają lub wyglądają. Nie myliłem się. Niebawem od strony rynku zjawił się czołg z czerwoną gwiazdą. Był to czołg sowiecki, który zatrzymał się niemal na środku ulicy. Otworzyła się kłapa wieżyczki czołgowej i wychyliła głowa sowieckiego sałdata. Czołgista, a był nim zapewne jakiś oficer, zwrócił się do stojących przed domami Żydów z zapytaniem: "*Kuda pajechali polskije sałdaty?*" Żydzi, jakby rażeni prądem, szybko podbiegli do czołgu, wołając: "*Tuda! Tuda!* ", przy czym wskazywali wysoko podniesionymi rękami kierunek na Poczmajstrówkę.

W tym momencie nad domami mieszkańców Krótkiej Strony pojawił się samolot polski, a był to ten, którego wcześniej widziałem, a który obecnie wystartował. Leciał w kierunku Wolan. Byłem przekonany, że ruski czołg skosi go zaraz serią karabinu maszynowego. Tymczasem czołg sowiecki momentalnie zawrócił i już nie ulicą, lecz po obok niej rozłożonym chodniku z płytek betonowych, udał się pospiesznie w stronę, z której przybył, zostawiając zdumiony i osłupiałych Żydów, którzy też spodziewali się, iż poznany dopiero co oswobodziciel zdecydowanie rozprawi się z Polakami i oni będą tego zdarzenia świadkami. Płytki chodnikowe zostały w ten sposób gąsienicami czołgu połamane. Z braku nowych, ich kawałkami wyremontowano potem chodnik, którym przechodziłem często, za każdym razem przypominając sobie przyczynę jego kształtu.

Uradowany z finału tego pierwszego spotkania czerwonoarmistów i Polaków, postanowiłem opuścić wstrętnych Żydów wykazujących już wówczas, jak było to widać z ich zachowania, wiele radości z faktu wkroczenia na tereny polskie żołdaków z czerwoną gwiazdą. Pozostawiając ich stojących nadal w ramach swoich domów, z uczuciem pogardy i wstrętu jakiego doznałem dla tych obrzydliwych pejsarzy, przyspieszyłem kroku, by czym prędzej przekroczyć próg domu i opowiedzieć, co widziałem i jakich dostałem wrażeń. Nastął zresztą już wieczór.

W dniu następnym zjawiłem się na terenie rynku. Było to zaraz rankiem. Na rynku biwakowali żołnierze Armii Czerwonej. Ulicami natomiast przechodziły ogromne tłumy Żydów i niektórych Rusinów. Wśród tłumów widać było kobiety, młodzież i dzieci. Z twarzy wszystkich płonęła entuzjastyczna radość. Niesiono transparenty z napisami w języku żydowskim i rosyjskim. Transparenty były wykonane z jakiegoś atłasu, na którym świeciły haftowane litery w kolorze złotym, srebrnym i czerwonym. Pomyślałem, że na wykonanie tych transparentów musieli Żydzi poświęcić sporo czasu, przypuszczalnie ich haftowanie rozpoczęli też daleko przed wybuchem wojny i to za pieniądze sowieckie. Obok transparentów powiewały flagi czerwone z żydowskimi gwiazdami. Nie widziałem flag żółto-synich. Mężczyźni z czerwonymi opaskami na rękawach wznosili okrzyki na cześć zwycięskiej bolszewickiej armii i jej wodza Stalina. Przemawiał jakiś oficer sowiecki. Również przemawiał komunista z Wolan, niejaki Faliński, Rusin, którego córka Sławka, była później kochanką szefa banderowców w Busku, a potem wyszła za mąż za oficera polskiego i zamieszkała w Polsce.

Spotkana w Busku w latach 70 Waleria Rajkowska, która nie opuściła rodzinnego miasta i mieszkała nadal w Busku, a jej córka, jak się dowiedziałem, aktywnie obecnie działa na rzecz uruchomienia mszy świętych w kościele tamtejszym, opowiadała, jak na rozprawie sądowej, tak zwanej pokazówce, którą zorganizowali sowieci na rynku w Busku, a w której oskarżano przywódcę UPA za niezliczoną ilość mordów na ludności polskiej i rosyjskiej (im oczywiście chodziło o tych drugich!), Sławka, jako świadek zaproszony z Polski, zachowywała się buńczucznie i była pewna siebie. Na jej oczach odbywały się rzezie polskich kobiet, między innymi którym rozcinano brzuchy, odcinano piersi itp. Na tej rozprawie w Busku sędzia zadał pytanie oskarżonemu (szkoda, że nie zapamiętałem jego nazwiska!), w jakim celu rozcinano brzuchy brzemiennym kobietom. Odpowiedź brzmiała, że chciał widzieć jak wygląda dziecko w łonie matki. Natomiast zapytana Sławka kim był dla niej oskarżony, odpowiedziała, że był jej kochankiem, a nawet więcej, jakby mężem. W stosunku służbowym była jego sekretarką - dodała.

A więc ów Faliński, w tym czasie wielki komunista, też przemawiał, głosząc, że demonstrowana czerwień jest symbolem nauki Chrystusa. Chrystusowa odzież też była koloru czerwonego. Chrystus też chciał i dążył do tego, by wszyscy mieszkańcy Ziemi byli wolnymi i równymi, by szanowali się

wzajemnie bez względu na karnację skóry i pochodzenie. Chrystus też występował przeciwko ciemnościom i gnębicielom ubogich. W imieniu Chrystusa zatem Armia Czerwona uczyniła mieszkańców Buska wolnymi. Nie wiem tylko, jak przyjmowali te słowa Żydzi, którzy Chrystusa nie uznawali i tym samym zapewne nie mogli sobie wyobrazić, że wraz z Czerwoną Armią przybył do miasta Jezus Chrystus.

Dla Sowietów wszystkie tego rodzaju przemówienia, bez względu na ich treść, były przyjmowane wyrażaną przez mówców występujących w imieniu mieszkańców wdzięczność i deklarację do współpracy z wielkim narodem rosyjskim i jego przywódcą Stalinem. Toteż filmowano sceny manifestacji, by dawać światu świadectwo, że znaleźli się tutaj jako prawdziwi wyzwolicieli ciemzonego narodu przez burżujów i krwiopijców polskich panów. Tego rodzaju slogany było często powtarzane na organizowanych tak zwanych mitingach, o których krąży dowcip, że czuby na czapkach są po to, aby wszy miały miejsce na zwoływanie mitingów.

Nadszedł w ten sposób czas dla Polaków, którego nazwać by można w wielkim upokorzeniem, czas smutku, niepewności jutra i strachu.

W tych warunkach przyszła pora kopania ziemniaków. Z całą rodziną udałem się w pole, gdzie rozpoczęliśmy pracę. Obok nas te same czynności wykonywał niejaki Dymytczuk, Rusin, którego przezywano Purcel. Był to człowiek o bardzo brzydkim charakterze. Może dlatego, że nosił na plecach dość okazały garb. W każdym razie on to w bójkę na noże zamordował swojego kolegę, Emila Wanio, on też odważył się w Kozłowie (wiosce obok Buska) kilku Rusinów poszatковать nożem szewskim (z zawodu był szewcem), bo mu przeszkadzali w zdobywaniu serca poznanej tam swojej ukochanej, z którą potem się ożenił. On to podobno też zadenuncjował Żydów chroniących się w stodole Gofryka przy Wołoskiej, których obok rzeki Rokitna rozstrzelano. Było to któreś niedzieli maja 1943 roku. Wyszedłem z kościoła do domu. Ludzie komentowali zbrodnię. Opowiadali, że stodoła została otoczona przez policję ukraińską, po czym wyprowadzono z nich Żydówki wraz z małym chłopcem w wieku około 8 lat. Po wyjściu ze stodoły mały chłopiec oderwał się od matki i uskoczył w zboże polne. Ucieczka może nawet byłaby mu się powiodła, gdyby nie zaczepił nóżkami o rozciągnięty wzdłuż między drut. Upadł, a oprawcy kilka-kilkoma strzałami rozpruli jego młode ciało. Działo się to na oczach matki, która na pewno doznała wyrzutów sumienia, że doradziła synowi ucieczkę. A może pomyślała, że dobrze się stało, iż synuś najgorsze ma już za sobą. Ukraińcy poprowadzili zapłakane Żydówki w pobliże Rokitny i tam rozstrzelali. Widziałem leżące ciała z roztrzaskanymi czaszkami. Widać, że były rozstrzeliwane z bardzo bliskiej odległości.

Wszystkie te wydarzenia miały miejsce znacznie później. Teraz Purcel obok nas kopał ziemniaki. W pewnym momencie rzucił stwierdzenie, że Polska umarła i że nie ma już jej i nigdy nie będzie. Równocześnie zwrócił się do ojca z pytaniem: "Czy jeżeli ktoś umrze, może zmartwychwstać?". Ojciec najspokojniej mu odpowiedział: "Może zmartwychwstać" i były to słowa prorocze, bowiem Polska zmartwychwstała. Nie wiem czy złośliwy Purcel doczekał się powstania Ukrainy, ale wiem, że o zmartwychwstaniu Polski musiał wiedzieć na pewno.

Cała rodzina mocno przeżywała i komentowała już w tym czasie skutki nieodwracalnego IV rozbioru Polski. Praca przy kopaniu ziemniaków nie dawała mi jakiegokolwiek satysfakcji. Odrzucałem argumenty ojca, że przecież musimy żyć i ziemniaki stanowiąc będą dla nas podstawowy artykuł dający nadzieję na przeżycie. Myślałem ustawicznie nad tym, jak wyrwać się z tego pola i pobiec do rynku, aby być świadkiem, jak marzyło mi się, leżących po chodnikach bolszewików i Żydów, których jakaś

sprawiedliwa niewidzialna ręka dotknęła paralizem, czy zarazą, za czyny, których dopuścili się wobec Polski. Pragnąłem rozpoznać wśród nich wszystkich wcześniej maskujących się Jej wrogów.

Dopiero po kilku dniach udało mi się stąpać po chodniku w rejonie poczty na starym rynku. W pewnym momencie zauważyłem samochód wojskowy typ Doczka z ogromną, zawieszoną na wysokiej żerdzi białą flagą trzymaną przez pewnie jednych z tych, których marzyło mi się widzieć wśród nieżywych. W skład siedzących na samochodzie wchodziło dwóch wojskowych w mundurach sowieckich. Samochód ruszył mocnym zrywem w stronę rynku i pewnie dalej - w kierunku lasów okalających wsie Adamy i Grabową. W lasach tych o przepięknym w tym czasie drzewostanie, ponad stuletnie sosny oraz sędziwe dęby, zgromadzona została spora część armii polskiej. Jej dowództwo oczekiwało widocznie parlamentariuszy sowieckich, bowiem już w tym czasie dla zgrupowanych tutaj żołnierzy nie było innego wyjścia, jak poddanie się liczebnie potężniejszej armii sowieckiej, która okrążyła wymienione lasy i nie dawała żadnych szans na przebicie się w kierunku granicy węgierskiej, czy rumuńskiej, gdzie już bezpodzielnie panowała służba enkawudowska, szczelnie grodząca przejścia.

Akt kapitulacyjny zapewne uwzględniał wysunięte przez stronę polską warunki, które miały zabezpieczać życie i powrót do domów poddanych żołnierzy, bowiem ci, po złożeniu broni, chętnie rozdawali różne przedmioty zgromadzonej ludności, wypytyjąc o odległość i kierunek do Lwowa, Żółkwi, Rawy Ruskiej itp. Nikt z nich nie przypuszczał wówczas jeszcze, że zostaną w bezczelny sposób oszukani. Dla wielu bowiem akt kapitulacji stał się wyrokiem śmierci, albo zsyłką do łagrów sowieckich na Syberii.

W pamięci utkwił mi taki oto obrazek: żołnierz sowiecki odebrał oficerowi polskiemu lornetkę. Dłuższy czas manipulował przy niej, usiłując otworzyć futerał. Wreszcie zdenerwował się, odpiął pasek i przypiął go do karku swojego konia, resztę rzucając do rowu. Miałem zamiar wziąć tę lornetkę, ale jakiś starszy ode mnie chłopiec uprzedził mnie. Piękne konie polskich ułanów zabrane zostały przez Rosjan, albo zamienione na chabety, którymi oni przyjechali do Polski, a te z kolei stawały się łupem wiejskich chłopów, Ukraińców. Poddanych żołnierzy grupowano w szeregi i prowadzono do pośpiesznie przygotowanego na folwarku w Busku (dzielnicy Podzamcze) obozu. Umieszczeni w oborach i chlewach żołnierze polscy zrozumieli, że zostali oszukani. Sowietci nie przejawiali najmniejszego zamiaru przestrzegania dopiero co podpisanego dokumentu umowy kapitulacji. Jak opowiadano, oficerów wzywali do ujawnienia się, obiecując im pracę biurową, natomiast szeregowym - pracę fizyczną, oczywiście obie miały satysfakcjonować wszystkich jako, że płace miały być bardzo wysokie. Skrupulatnie oglądano dłonie wziętych do niewoli. Jeżeli były delikatne uznawano, że ich posiadacz jest inteligentem, a więc oficerem. Do stacji kolejowej w Krasnem podążyły dwie grupy: oficerów i podoficerów oraz żołnierzy szeregowych. Droga z Krasnego - jak potwierdziła historia oficerów - wiodła do grobu, natomiast szeregowych - do ciężkich obozów pracy. Część spośród szeregowych usytuowano w naprędce przygotowanym łagrze pomiędzy Buskiem a Kozłowem. Stanowiła ona siłą roboczą przy budowie biegnącej tędy asfaltowej szosy, która łączyła Lwów z Kijowem, a która biegła ze Lwowa przez Jaryczów, Busk, Brody, Równe, Żytomierz. Do budowy rzeczonyj drogi asfaltowej oraz jej towarzyszących mostów wciągnięto również absolwentów szkoły technicznej we Lwowie (przy Snopkowskiej) oraz niektórych inżynierów polskich. Wspomniany lagier dysponował kilkoma nędznymi barakami, w których wegetowali jeńcy polscy. Zasięki z drutów kolczastych nie pozwalały na ucieczkę. Były tam również baraki - biura, które zasłaniały kolczaste zasięki, bowiem usytuowane były przed nimi, zaraz obok budowanej drogi asfaltowej.

W biurach tych zatrudnione były Rosjanki, żony oficerów NKWD. Na czele całego obozu, pełniącego funkcję Heroda, stał enkawudzista; z pochodzenia był Ukraińcem. On to brał czynny udział przy rozstrzeliwaniu więźniów w Busku. Potwierdzał to Franek Biskup, który w charakterze pracownika umysłowego pracował właśnie w tym obozie. Wspomina między innymi, że nawet zatrudniane tam Rosjanki negatywnie wypowiadały się o swoim szefie obchodzącym się z jeńcami w sposób naganny, nie przejawiający jakichkolwiek uczuć ludzkich.

Któregoś dnia, kiedy już mocno się ściemniło, znalazłem się w razem z bratem Mieczysławem, w okolicy rzeki Bug. W pewnym momencie zauważyliśmy dwóch idących w naszym kierunku żołnierzy polskich. Nawiązaliśmy z nimi kontakt. Zawierzyli nam i przyznali się, że są uciekinierami z obozu, tego z folwarku. Postanowili iść wzdłuż Bugu, aby nie zabłądzić, aż do granicy z Niemcami i dalej... do domu, bowiem pochodzili gdzieś z okolic, które znalazły się pod okupacją niemiecką. Brat im doradził, aby uważali na wioski ukraińskie, które właśnie są rozmieszczone nad rzeką. Czy do końca ucieczka im się powiodła, tego oczywiście nie można było dociec, ani wtedy, ani później. W każdym razie wielu było śmiałków i desperatów, którzy podejmowali ucieczki, lecz wielu z nich przypląciło swoje życie, zawieszając swoje ciała na okalających obóz zasiekach z drutu kolczastego.

Wielu Żydów gremialnie przyłączyło się do rabowania tego, co po bolszewikach mogło być jeszcze rabowane z majątku hrabiego Badeniego i w mieszkaniach pozostawionych bez opieki przez uciekających Polaków. Wielu z nich wprowadziło do swoich nędznych komórek piękne krowy (te z folwarku), które teraz ustawicznie ryczały spragnione wody albo jadła, a tego Żydzi nie kwapili się dawać bydłom, mniemając, że są one tylko do dojenia, a zapominając o karmieniu. Toteż krowy zaczęły zdychać, a ich obecni właściciele zmuszeni zostali do zmiany zawodu, przekształcając się z "rolników" na pracowników biurowych. Urzędy w Busku w całości zostały obsadzone przez Żydów. Burmistrzem miasta został Żyd, jego zastępcą Żyd itd. W rynku uruchomiono świetlicę, w której gromadzili się Żydzi i przeważnie grali w szachy. Szczególnie młodzież żydowska uaktywniła się w tworzeniu nowego sowieckiego porządku. Młodzież ta dzielnie wspierała organizację tak zwanych wyborów do władz miejscowych. A było to późną jesienią roku 1939. Do udogodnienia zorganizowano transport, który miał za zadanie dowożenie wyborców do urn i z powrotem - zawożenia ich do domów. Samochody ciężarowe ZIS-5 od świtu już przejeżdżały ulicami miasteczka i zabierały na swe burty uprawnionych do głosowania. Samochody te konwojowane były właśnie przez młodych Żydków. Ci każdego niemal podpychali na samochód. Potem pomagali mu zeń zejść, a jeszcze potem podprowadzali do sal wyborczych, gdzie wręczali odpowiednie kartki - głosy, wskazując otwór w urnie i polecając, by je tam wrzucić. Bywało, że wyręczali głosujących i sami za nich wrzucali głosy do urny. Do osób chorych i niedołącznych starców przyjeżdżały pachołki żydowskie ze specjalną urną. W takich razach wszystkie formalności związane z głosowaniem wykonywały owe pachołki. Każdy głosujący był ze wszech stron obserwowany, aby nie dopuścić do wrzucenia do urny szkalujących antysowieckich haseł, lub wykryć sprawców takich poczynań. Znane później i powielane hasło w Polsce Ludowej - "Głosujemy bez skreśleń" dla nie jednych było ogromnym zaskoczeniem. Po cichu krytykowano taki stan rzeczy, ale zdawano sobie sprawę też z tego, że to jest narzucony szczególnie Polakom system zniewalający i wszyscy, którzy oprą się temu systemowi, staną się wrogami systemu, zaś wrogowie muszą być "unicztożeni", w najlepszym razie wysłani na "białe niedźwiedzie". Bez oporu więc wrzucano owe głosy do urny i pospiesznie opuszczono lokal wyborczy, gdyż nawet chwilowe w nim się zatrzymanie mogło wzbudzić wśród inwigilujących Żydków cienie podejrzeń.

Mimo przedstawionego reżimu, a miało to miejsce w Krasnem, kolejarzom którzy "dla ułatwienia" głosowali w oddzielnym lokalu, udało się do urny wyborczej wrzucić kartki, na których odręcznie napisy głosiły, iż Stalin to bandyta i morderca, że bolszewicy to banda złodziei itp. Po niewielu dniach jeden z kolejarzy, autor późniejszych opowieści na ten temat, został wezwany do biura NKWD. Tam dano mu przeczytać owe paszkwile i zapytano, czy aby nie zna ich twórcy. Zapytany oczywiście zaprzeczył. Polecono tedy, aby wszedł w kontakt z kolegami i stawiał im wódkę i zakąskę, przeprowadzał rozmowy, które uwieńczone zostałyby zdemaskowaniem sprawcy - wroga ludu. Kolejarz obiecał podjąć się zadania. Przed opuszczeniem biura NKWD został zaindagowany, ile ma dzieci. Odpowiedział, że dwoje. Poleciał mu zaczekać i wyjmując dwa jabłka z szuflady rzekł: "Masz to dla twoich dzieci". Kolejarz się wzbraniał, ale w końcu zmuszony został do przyjęcia jabłek. Kiedy po dwóch tygodniach ponownie kolejarz został wezwany przed oblicze poznanego wcześniej enkawudzisty, zauważył na stole dwa jabłka. Zapytany o rezultaty swoich poczynań, oświadczył, że i pił i jadł z kolegami, ale niestety, niczego się nie dowiedział. Zmuszono go do wzięcia dla dzieci jabłek i polecono mu, aby kontynuował zlecone mu zadanie. Za trzecim i czwartym razem było podobnie. Kolejarz niczego się nie dowiedział i niczego nie przekazywał. Za każdym jednak razem przynosił do domu dwa jabłka. Dopiero gdzieś za piątym razem kolejarz, kiedy przybył na wezwanie do NKWD, nie zauważył na biurku jabłek. Uznał to za zły omen. I rzeczywiście, kiedy zrelacjonował, że sporo wypił i znacznie więcej zjadł z kolegami, ale nie dowiedział się niczego, usłyszał słowa, które na długo zapamiętał. Brzmiały one tak: "Ty płocho diełał, idi w czortu!" Gdy Nazajutrz nogi jego przekroczyły próg budynku kolejowego, czekał nań dokument, z którego się dowiedział, że został zwolniony z pracy.

Zaczęła się mroźna zima, a wraz z nią horror i obawa na doczekanie jutra. Każdej niemal nocy warczały silniki wspomnianych "ZIS -5", z których latarkami oświetlano numery domów, konfrontując je z zapisami na specjalnych listach (sporządzanych przez Żydów!), łomotano do drzwi i aresztowano za to jedynie że byli Polakami. Po aresztowanych ślady zawsze ginęły. Grabarze mieli sporo pracy, gdyż musieli codziennie przygotowywać dwa groby, którą nocą napełniali trupami i zasypywali.

Wielu z zamordowanych układano w stosy w piwnicach tych kamienic, w których mieszkali, aby potem po napełnieniu je zamurować. Odkrycie tych piwnic nastąpiło dopiero po przyjeździe Niemców w 1941 r. Ciała pomordowanych będące w rozkładzie Żydzi przenosili na furmanki, a potem na cmentarz na Niemieckim Boku, gdzie pochowano we wspólnym grobie, umieszczając na nim płytę betonową z napisem: "Pomordowani przez zbirów bolszewickich w latach 1939-1941".

Kwiecień 1993 + 1000